

— I ja rozumiem taką miłość, o której tak pięknie powiedziała panna Ryta. Dla mnie miłość, jeśli nie ma skrzydeł, jest tylko robakiem.

— Dlaczego pan nie przypuszcza, że i my kobiety pragniemy miłości pięknej, pełnej poezji, wdzięku, uniesień. a nie tej płaskiej, brudnej, niskiej, godnej robaków, nie ludzi.

— I to pani mówił? Pani! — zdziwił się, — jakże pani będzie poetyzowała, unosiła się, zachwycała z tem ciałem bez duszy?

— A pan z tą gąską? — zaśmiała się.

— Ja się nigdy nie zakocham w takiej.

— I ja tak samo, i Ryta również nie pokocha „Grabca” z Balladyny.

— A jednak ja wiem co innego.

— Panie Borowiecki, nie zapominaj pan rady: to wiem, że nic nie wiem.

— Od innych żąda pani posłuszeństwa radom, a sama odrzuca pani każdą radę.

— Panie Borowiecki, to wiem, że nic nie wiem, — uśmiechnęła się zagadkowo.

Ryta, chmurna, słuchała tej rozmowy, niezupełnie zrozumiała dla niej, ale to wiedziała, że tych dwoje łączy ze sobą jakaś tajemnica, jak podejrzewała serdeczna, i opanowała ją smutek i żal do Wandy.

Do salonu zaczęli się schodzić goście, a do gabinetu wszedł wesoły i pewny siebie pan Jedliński i zawołał:

— Co za miłe i sympatyczne kółeczko! Właśnie szukałem pani, — zwrócił się do pani Wandy, — chciałem prosić o radę.

— O jaką? — spytała chłodno.

— W sprawie koncertu dzisiajszego, może pani zechce wybrać pieśń jaką?

— Każda będzie dobra.

— Zaśpiewam tedy znaną pieśń zaczynając się od słów: „Chcesz, abym ci piosnkę śpiewał, długą jak nić z motka...” a resztę pani zna? — uśmiechnął się do niej i dla niej.

Pani Wanda zarumieniała się z gniewu, lecz powiedziała uprzejmie:

— Może byłaby odpowiedniejsza, a raczej ładniejsza, ta do słów Asnyka: „Między nami nic nie było” i dalej jest tam podobno: „i nic nie będzie”.

— Nie! Tych słów tam niema, — upewniał lekko zmieszany.

— Są z wszelką pewnością panie Jedliński, dziś przecież wspominałam już panu o nich. Czy pan zapomniał?

— Tak... tak, coś sobie przypominam.

Borowiecki słuchał tego przemówienia z twarzą rozjaśnioną, on zrozumiał myśl w nich ukrytą i cieszył się, że ona usłuchała jednak jego rady.

Dano znak do kolacyi. Idąc obok pani Wandy rzekł z przyjemnym uśmiechem:

— Pani miała słuszość, istotnie to wiem, że nic nie wiem.

XII.

Pan Borowiecki posiadał umysł zbyt krytyczny, ażeby nie zdawał sobie sprawy z każdego swego kroku; poddał też surowej krytyce swe postępowanie względem pani Wandy i doszedł do przekonania, że może ujawnił w swem działaniu i słowach za wielkie zainteresowanie i pospiech jak na zwykłą, towarzyską znajomość, ale uczynił to z poważnej przyczyny.

Nie godziło mu się patrzeć biernie, jak inni szarpia dobrą sławę niewinnej i zacnej niewiasty, dzięki nieporozumieniom i pozorom. Jego obowiązkiem tedy było ostrzedz panią Wandę, co też uczynił.

Następnie, ktoś z boku mógłby sądzić, że jest zazdrosny o pana Jedlińskiego. Uśmiechnął się ironicznie na taki naiwny pomysł. Przede wszystkim nie ma o co być zazdrosnym, gdyż dla pani Wandy ten człowiek jest co najmniej obojętny, jeśli nie gorzej, jak tego dowodzi jej zachowanie się wieczorem po zabawie w wizyty. Wprawdzie on sam wyraża się o Jedlińskim może za surowo, ale czyni to przez po-

czucie sprawiedliwości, musi być bowiem pewna miara w ocenianiu ludzi, a chwaleńie wszystkich bez wyjątku byłoby kłamstwem i fałszem. Trudno zreszta chwalić Jedlińskiego, rozmyślał dalej, to człowiek płytkiego umysłu i serca, a przytem zarozumiały. Zdaje mu się, że każdą kobietę rozkocha i każda musi mu uleść, dlatego, że ładnie śpiewa i robi dość wątpliwe koncepta. Wprawdzie jest dosyć przystojny, ale wyraz jego twarzy jest banalny i pospolity.

Jako człowiek sumienny zadał sobie wreszcie pytanie, czy to zajęcie się panią Wandą nie jest przypadkiem z gatunku miłości, jak to przypuszczają niektóre panie. Takie podejrzenie wydało mu się tak zabawnem, że z uśmiechem wrzucił ramionami. Tak naiwny nie jest, ażeby się kochać w mężatce, kobiecie chorej, zdenerwowanej i rozpierzchnionej; wprawdzie lubi patrzeć na nią, słuchać jej rozmowy, ale od podobania do miłości daleka droga, zresztą nie może się w niej kochać, bo i jaka byłaby przyszłość tej miłości?



— Posłyszałam twój głos, Ryto, a właśnie szukałam ciebie.

Uspokoiwszy w ten sposób swój rozum i sumienie, chętnie szukał towarzystwa pani Wandy i w rozmowie najczęściej zwracał się do niej.

Cierpiała na tem próżność różnych pań, które nie szczędziły uwag, zaprawionych złośliwością na temat zmienności gustów.

— Są ludzie, — weschnęła raz przy obiedzie pani Porecka, — którzy swe upodobania zmieniają, jak inni rękawiczki.

— Upodobania zależą od nerwów, — uśmiechnęła się pani Mniewska, — ale nagła zmiana sympatii jest dla mnie zagadką, a dla pana? — spojrzała na Jedlińskiego.

— Ach, proszę pani, w naturze są różne diwotwory, — uśmiechnął się, — są stworzenia bez oczu, bez mózgu, bez serca, dziwić się nie można niczemu, co najwyżej litować się nad upośledzeniem.

— No, tak, — rzekła Madzia, przestając jeść, — ale jak wytłumaczyć tę zmianę?

— Bywają chorągiewki urodzone, — spojrzał przełotnie na panią Wandę, nabierając kremu z podawanego półmiska, — kręca się za łada złym lub dobrym podmuchem i wyciągają ma-

cki za każdym, nowym przedmiotem... dziś ten, jutro drugi.

— Te macki są wyborne, — zaśmiała się Madzia; — istotnie są ludzie, którzy robią wrażenie polipów i na wszystkie strony łowią.

— Co im popadnie pod oczy, — dokończył pan Jedliński, — i tem można wytłumaczyć ich chorobliwą zmienność sympatii.

Pani Wanda rozumiała, że to o niej mowa, na twarz jej wystąpiły lekkie rumieńce, ale nie chciała brać udziału w rozmowie, ażeby nie dać poznać, że odczuwa pociski.

Borowieckiego drażniły te przymówki i rzekł z intencją złośliwą:

— Mojem zdaniem, tylko człowiek uparty i zarozumiały nie podlega zmianom swoich uczuć i przekonań. Od tego jest rozum, ażeby z doświadczenia korzystać, i jeśli się widzi ujemne skutki spoufalenia z pewnymi ludźmi, zmienia się sposób zachowania.

— Ach, doświadczenie! doświadczenie! — zawołał lekceważąco pan Jedliński, — ono dobre jest w teorii tylko, a w rzeczywistości ponawia się to samo doświadczenie raz z tym, drugi raz z owym, to zależy od charakteru i serca.

— Ta i co pan wciąż prawili o sercu, — uśmiechnęła się pani radczyni, — o głodnemu chleb na myśli. Ta zmienność nie od serca zależy, ale od wychowania i przykładu. Wychowasz córkę bogobojnie i cnotliwie, doczekasz się pociechy.

— Może matka, a jaką pociechę będzie miał mąż? — zaśmiał się pan Szarocki, który od pewnego czasu pozbył się swej posępnej miny, patrzył weselej na świat i ludzi, a nawet wdawał się w rozmowę.

— Ta co tam mąż, — zaśmiała się, — dobry mąż będzie miał dobrą żonę, a chociażby i zły był, taki żona powinna być dobra i cnotliwa, od tego ona kobieta i matka.

— Pani żąda niemożliwych rzeczy, — rzekł Szarocki, — kobieta ma takie samo prawo do szczęścia, jak i mężczyzna. Nie rozumiem też, dlaczego ma biernie i pofulnie znosić tyranie męża złego i brutalnego.

Wygłoszenie tego zdania wywołało żywą dyskusję. Panie starsze były wszystkie tego zdania, że kobieta, skoro raz została żoną, powinna żyć wzorowo ze swym mężem i tylko w kółku swej rodziny szukać szczęścia.

Natomiast młode mężatki i panny sprzeciwiały się temu pogładowi i stawiały różne zastrzeżenia.

— A co pani sądzi o tej sprawie, — spytała z miną niewinną pani Porecka panią Wandę.

Snać odpowiedzi jej były ciekawe niewiasty i mężczyźni, gdyż wszyscy spojrzeli na nią.

— Zdaje mi się, — odpowiedziała, rumieniąc się pod wpływem tyłu

oczu, — że nie można stawiać zasady ogólnej, to zależy od pojęć czy przekonań osobistych, tak żony, jak i męża.

— Ale jak się pani zapatruje? — nalegała uprzejmie pani Porecka.

— Jako jeden z warunków postawiłam memu mężowi przed ślubem, że jeśli zechce rozwodu, on musi się zgodzić.

— O, pani jest przewidująca, — zauważyła pani Mniewska.

— Nie, proszę pani, — odpowiedziała trochę podrażniona, — lecz uważam za niemoralne, niewolę wspólnego życia.

— Ta co pani mówi o niewoli, — zawołała radczyni, — niewoli w małżeństwie niema, jest tylko obowiązek, ja tam nie jestem żadną niewolnicą.

— A ja konstatuję fakt, — zawołał niespodzianie pan Maniecki z uśmiechem złośliwym, — starsze panie, które już dosyć żyły i ujarzmiły mężów, są za przykrym pożyciem, a młodsze panie jeszcze się buntują. Chwała Bogu, że ja nie jestem ani mężem starszych pań, ani też młodszych.

(Ciąg dalszy nastąpi).